

Demokracja – ku wzbogaceniu czy zubożeniu?

4 stycznia 2017

Praca, przedsiębiorczość i zapobiegliwość czynią nas bogatszymi – głosowanie za tym, by uczyniono nas bogatszymi jest zwykle autodestrukcyjne.

Pośród różnych wyświechtanych frazesów, słowo „demokracja” zalicza się do wybranej grupy terminów, którym przypisuje się niekwestionowaną wartość, której nikt o zdrowych zmysłach nie podawałby w wątpliwość. Demokracja jest jednak dużo bardziej złożona w swoich konsekwencjach niż większość innych „wartości”. Bezwarunkowe jej aprobowanie oznacza kiepski osąd. Demokracja ma wiele wzajemnie sprzecznych konsekwencji w szczególności w sferze gospodarczej, których uświadomienie sobie jest obowiązkiem ekonomisty.

„Rządy ludu, przez lud i dla ludu” są równie zdolne uczynić go bogatszym, jak i biedniejszym. To, że efekt ten działa w obydwu kierunkach, nie jest winą samego rządu, ale także ludu, który jako domniemany pan w tej osobliwej relacji typu „pan i sługa” wysyła opaczne sygnały i instrukcje swojemu domniemanemu słudze. W posłuszeństwie wobec ludu rząd wyrządza mu niedźwiedzią przysługę. Ale w naturze demokracji leży to, że chcąc pozostać u władzy, ma się niewielkie pole do manewru w tej kwestii.

Ludzie normalni nie dążą do biedy. Zdecydowana większość stara się wzbogacić. Dla ekonomisty, i być może również dla etyka, nieśmiertelną cnotą demokracji jest to, że pozwala ludziom dążyć do swoich celów bez brutalnych zakazów, nawet jeśli – tak jak pszczelarz, który pozwala pszczołom zbierać miód, choć nie pozwala im go zjeść w całości – ingeruje w swobodę dysponowania owocami tego dążenia. Dyktatury często próbują, czasami skutecznie, zmusić ludzi do porzucenia dążenia do

dobrobytu i poświęcenia całych swoich sił dla mniej czy bardziej obłąkanego celu, który same dla nich ustalają. Demokracja nie jest winna przynajmniej tego grzechu.

Większość ekonomistów przypisuje demokracji kolejne cnoty, które podobno pomagają ludziom się wzbogacić. Przypisuje się jej takie wartości, jak zapewnianie społeczeństwu rządów prawa, edukacji, zdrowia i (innych) dóbr publicznych. Każde z tych dobrodziejstw można podważyć i każde wymaga dokładniejszej analizy.

Uważanie rządów prawa – z pewnością jednego z najważniejszych pozytywnych efektów zewnętrznych, z jakich gospodarka może korzystać – za produkt uboczny demokracji jest zwyczajnie błędne i przeczy historii. Rządy prawa panowały w Anglii od końca XVII wieku. Dominowały w niektórych aspektach obywatelskiego czy nawet publicznego życia we Francji pod panowaniem monarchii absolutnej Burbonów. Utrwaliły się w Prusach w XVIII wieku i w Austro-Węgrzech w XIX wieku. Żaden z tych krajów nie czekał na demokrację, aby podporządkować się zasadzie rządów prawa. Demokracja może tworzyć przyjazny klimat dla zakorzenienia rządów prawa, jednakże nie jest to regułą, o czym świadczą niektóre kraje południowoamerykańskie, które w drugiej połowie XX wieku zaadoptowały powszechne prawo wyborcze i głosowanie większościowe jako sposób wyłaniania rządów. Stwierdzenie, że nie są one prawdziwymi demokracjami, bo nie posiadają rządów prawa, byłoby zamienieniem relacji między tymi dwoma zjawiskami w jałową tautologię.

DEMOKRATYCZNA EDUKACJA

Za obowiązkowym nauczaniem każdego dziecka czytania, pisania i liczenia przemawiają silne argumenty. Poza oczywistymi korzyściami, jakie znajomość alfabetu przynosi jednostce, jest on także pozytywnym efektem zewnętrznym dla społeczeństwa. Przymus może być usprawiedliwiony tym, że nie można prosić dzieci o dobrowolny wybór, natomiast niedbali rodzice, wybierając dobrowolnie, mogą wyrządzić krzywdę będącemu pod

ich opieką dziecku. Demokracja jednakże nie mogła poprzestać na umiejętnościach czytania, pisanie i liczenia. Większości wyborcze rychło uznały za niegodziwy fakt, że edukacja niektórych dzieci kończy się na 12. roku życia, a innych biegnie aż do 16., 18. czy, w przypadku edukacji uniwersyteckiej, 25. roku życia. Wiek ukończenia nauki szkolnej jest zatem stopniowo podwyższany, niezwykle wartościowa społecznie instytucja praktyki zawodowej tłumiona i często gwałtownie potępiana przez związki zawodowe nauczycieli, a uniwersytety (przynajmniej w większej części Europy kontynentalnej) są otwarte na oścież dla wszystkich chętnych, zrzucając koszt czesnego na społeczność. Dobór selektywny jest odrzucany jako niedemokratyczny, elitarny i nieegalitarny. Wynikiem tego jest poważny spadek jakości szkolnictwa wyższego, często niezadowoleni i buntowniczy studenci, chroniczny niedobór wykwalifikowanych młodych przedstawicieli tzw. niebieskich kołnierzyków oraz beznadziejna nadwyżka absolwentów „miękkich” kierunków, w których nawet niezdolnym studentom pozwala się prześlizgnąć i zdobyć bezużyteczny stopień akademicki. Wiąże się to z ogromnym marnotrawstwem czasu i zasobów, ale wiele ostatnich doświadczeń wskazuje, że demokratyczne systemy polityczne nie tolerują prób powstrzymania, nie mówiąc o zawróceniu, tych tendencji. To tak, jakby społeczeństwo dążyło do zubożenia się poprzez autodestrukcyjny nadmiar szkolnictwa.

Powszechne, przymusowe ubezpieczenie zdrowotne – typowo demokratyczny cel, obecnie osiągnięty w większości europejskich krajów również nie jest wolne od zgubnych skutków. Działają one po obu stronach demograficznego spektrum. Powszechnie dostępna opieka zdrowotna, w tym korzyści wynikające z finansowanego z publicznych pieniędzy rozwoju technologii medycznej, jest główną przyczyną spektakularnego wydłużania się średniej oczekiwanej długości życia, którego jesteśmy świadkami. Prawdopodobnie nie doszłoby do tego bez rozpowszechnienia się rządów większości i niewątpliwie powinniśmy traktować to zjawisko jako mile

widziany produkt uboczny demokracji. Jednakże zalegalizowano i upowszechniono także dostęp do aborcji oraz ułatwiono dostęp do tabletki antykoncepcyjnej. Demokracja oraz pewne trendy społeczne, które jej towarzyszą, są przynajmniej częściowo odpowiedzialne za spadający wskaźnik urodzeń, który rzuca złowieszczy cień na przyszłość, zwłaszcza Niemiec i Włoch.

Oczywistym skutkiem jest „tykająca bomba” zwiększającej się liczby emerytów oraz niepracujących, przytłaczając liczbę tych, którzy ciągle są w wieku produkcyjnym. Żadna kreatywna księgowość kraju nie może zaprzeczyć faktowi, że w ten czy inny sposób średnie dochody muszą spaść. Skutek ten można łagodzić zwiększeniem imigracji lub wydłużaniem wieku emerytalnego. Jednak żaden z tych środków raczej nie pomoże politykom w reelekcji.

Świadczenie przez rząd dóbr publicznych w demokracji jest prawdopodobnie bardziej rozległe i bardziej kosztowne niż w innych systemach politycznych, które zależą w mniejszym stopniu, lub w ogóle, od poparcia większości. Powodem jest fakt, iż podczas gdy każdy kuszony jest by zastosować efekt gapowicza – czyli przerzucić koszt produkcji dóbr publicznych na społeczność jako całość, tylko w głosowaniu większościowym gapowicz może wymusić realizację swojego życzenia o jeździe na gapę, dzięki głosowaniu za większą ilością dóbr publicznych. Rząd nie może uniknąć pochylenia się nad tym życzeniem, nawet jeśli prowadzi ono do nieproporcjonalnych wydatków (deficyty, jak wiemy, są obciążeniem przyszłych pokoleń, które nie głosują w nadchodzących wyborach). Wynikiem jest „miks” produktu narodowego dóbr publicznych i prywatnych, który nie jest w stanie zadowolić większości ludzi, i przy tym niemogących oprzeć się pokusie jazdy na gapę – pierwotnej przyczynie „złej” równowagi prywatno-publicznej.

RUJNOWANIE ALOKACJI ZASOBÓW

Głosujący czynią sobie prawdopodobnie największą szkodę, gdy próbują używać mechanizmów demokracji do uzyskania za pomocą

polityki tego, czego gospodarka im odmawia. Właściciele samochodów poszkodowani przez wysokie ceny benzyny będą domagać się „polityki energetycznej”; rolnicy uprawiający buraki cukrowe będą domagać się cła importowego na cukier z trzciny cukrowej (eufemistycznie nazywanego „polityką handlową”); różnorodne biznesowe grupy interesu zmęczone różnymi podatkami domagają się „pozytywnej polityki fiskalnej”; rolnicy blokują drogi traktorami, aby bronić „narodowej samowystarczalności w żywności”; mali sklepikarze domagają się, aby supermarketom odmawiać pozwoleń na budowę w imię „polityki bliskości”; związki zawodowe grożą strajkiem, gdy nie ma „sensownej polityki zatrudnienia”; regiony źle zaopatrzone w drogi nalegają na „zrównoważoną politykę transportową”; a wszyscy, którzy mają na uwadze [swoje] ulubione projekty wołają o „politykę inwestycji celu publicznego”. Jako że tylko niektóre z tych roszczeń są realizowane, o te niespełnione nalega się ze zdwojoną siłą.

Stwierdzenie, że bez polityki alokacja zasobów w gospodarce byłaby na pewno optymalna stanowi przykład idealistycznego liberalnego patrzenia na świat. Nie jesteśmy nawet pewni, czy „optymalna alokacja” naprawdę ma jakieś znaczenie, z wyjątkiem być może przypadku, gdy jest to wynik nieskrępowanych dobrowolnych wymian. Z pewnością można powiedzieć, iż każda taka przyjęta „polityka” sprawi, że alokacja będzie gorsza, bardziej wykrzywiona, jeszcze dalej odsunięta od pozycji, którą wolne jednostki przypisałyby jej poprzez dopasowanie swoich krańcowych korzyści i kosztów. Przyjęta „polityka” zablokuje, zachwieje lub odwróci siły równowagi rynkowej. Będzie redystrybuowała dochód, karząc tych, którzy odnoszą największy sukces w zaspokajaniu pragnień swoich bliźnich, i nagradzając tych, którym się to nie udaje. Sukces nie zawsze jest godny podziwu, a porażka nie zawsze jest winą tego, kto ją poniósł. Jednak stworzenie systematycznego programu rządowego, mającego oddawać sprawiedliwość w tych kontrowersyjnych kwestiach może mieć jedynie najtragiczniejsze konsekwencje ekonomiczne.

A zatem dążenie ludzi do wzbogacenia się (lub bycia mniej ubogim) poprzez użycie mechanizmów, jakie oferuje im polityka w demokracji, wygląda zupełnie tak, jak gdyby starali się zbiednieć. Jednak aby dostrzec, jak godne politowania jest ich działanie, trzeba popatrzeć na to z perspektywy neutralnego obserwatora.

Autorstwo: Anthony de Jasay

Tłumaczenie: Tomasz Kłosiński

Źródło oryginalne: Econlib.org

Źródło polskie: Mises.pl